Rozmaitości

Dnia 25. Czerwca **Nr 26.** 1836 Roku.

O WPŁYWIE LITERATURY
NA UKSZTAŁCENIE CZŁOWIEKA.
Przez P. Berville z dz: *France litteraire.*

Gdyby jakiś płytkiego pojęcia człowiek na widok brzoskwini w swoim sadzie okrytéj kwieciem wiosnianym, zawołał: »Co, tu są kwiaty, miasto owocu! jaka niedorzeczność! precz z nieużytecznem drzewem, mnie potrzeba owocu w sadzie, nie kwiatów!« taki człowiek niezawodnie stałby się celem pośmiewiska, lub politowania drugich. A jednakowoż podobnymi sędziami są ci wszyscy, którzy, odłączając literaturę od jéj skutecznych i wielostronnych wpływów, chcą w niéj widzieć tylko przyjemną lub lekką rozrywkę, pewien rodzaj umysłowego zbytku, i zwodnicze oderwanie się od ścisłych umiejętności. Równo jak ów ograniczony właciciel sadu, uwodzą się oni grubym pozorem; widzą tylko kwiat, który im pod oczy podpada, a nie mają pojęcia o wywinąć się mającym owocu.

Zamiarem naszym jest błąd ten obalić, kreśląc istotną charakterystykę literatury, i wykazując wszystkie stosunki, które ją z innémi umiejętnościami łączą.

Nie możemy oddzielić słowa od pojęcia, które ma wyrażać; podług tego powinniśmy uważać język jako obraz myśli, literaturę zaś jako środek objawienia, zamiany, rozszérzenia i uzacnienia naszych ideów. Słowem, literatura jest tém dla ducha, czém oko dla ciała, ona zadziérga nierozerwane stosunki między nim, a całą przyrodą. Dopiéro wtedy, gdy w człowieku ocknęła się możliwość mówienia, siły jego umysłowe rozwijać się zaczęły, bo dotąd zostawały w dzikim zamęcie. Słowo stało się źwierciadłem, w którém się myśl odbiła, i swemu twórcy objawiła się w obrazie; tam on mógł się jéj przypatrywać, tam sądzić o niéj, i tam ją urabiać dowolnie. Z razu znalazł on tylko osobne miano na każdy przedmiot, potém na przymiot przedmiotu, a daléj oznaczył położenie przymiotu z przedmiotem i t. d. W téjże chwili, kiedy język użył wrodzonéj sobie zdolności mówienia, zaczął duch rozróżniać. Lecz wtedy jeszcze myśl lotnemu głosowi powierzona, nie była w możliwości ustalić go, i puścić w kolejne podanie; nie dostawało jeszcze umowi punktu oparcia, z któregoby nabrał bezpiecznego lotu. Wtenczasto dopiéro objawiła się mu nowa tajemnica, przez którą mógł się uwiecznić, to jest: wynalazł znaki pisma.

Okres ten dopomina się o wysokie miejsce w dziejach rodzaju ludzkiego; któż podoła obliczyć wpływy, jakie ten wynalazek wywarł na przeznaczenie stanu społeczeńskiego!

Pismiennictwo (literatura), jakto z samego nazwiska jego widać, niczém w początkach nie było, tylko wiadomością charakterów pismiennych. Wiadomość ta, w czasach swego dziecięctwa, nadawała jéj posiadaczom niezmierną wyższość nad gminem. Pismienni uchodzili za mędrców ludu, za aniołów stróżów tajemnic nauki, przezto dobili się władzy religijnéj nad ciemnym gminem. Tak więc Indyjanie mają swoich braminów, Chaldejczykowie magów, Celtowie druidów, Egipcyjanie swoich kapłanów, którzy wiadomością pisma od prostego różnili się ludu, i przezto samo panowali nad nim powagą téj nauki.

Tymczasem z postępem wieków wiadomość pisma wykradła się z grubych murów świątyń, i rozeszła się między wszystkie klasy społeczeństwa; odtąd wyraz literatura nabrał innego znaczenia. W okresie dzikości znaczył on

tylko sztukę rysowania znaków pismiennych, poźniéj, kształcenie mowy za pomocą pisma.

To słowo i dziś jeszcze tak rozumiemy. *Homme des lettres* nazywa się u nas człowiek, wyjawiający swoje pomysły z większą jasnością, oznaczeniem, mocą, wdziękiem, niż człowiek gminny; aby dójść do téj doskonałości, musiał on nie tylko przez długi czas zgłębiać ducha i środki pomocnicze swojéj ojczystéj mowy, ale oraz obręb swojéj wiedzy zbogacać nauką obcych języków; sztuka jego nie ogranicza się na tém, aby mógł wyrazić myśl pojedyńczą, lecz aby umiał najrozległéjszemu przedmiotowi, i systematom najzawilszym najczystszych i najszczęśliwszych wyrażeń użyczyć, które mu ułatwiają powiązanie ideów, i zaokrąglają naturalny porządek stosunków.

Każda umiejętność, jakiegokolwiek bądź rodzaju, składa się z pojedyńczych ideów, które powiązane z sobą, dopiéro całość stanowią. Z początku robimy tylko pojedyńcze uwagi, te roztrząsnięte i porównane wzajemnie z innémi wypadkami, wznoszę się poźniéj do godności zasad, czyli pierwoczęć. Duch przez postępowe badanie odkrywa styczności między nabytémi zasadami, istniejącémi dotąd gatunkowo, podnosi je na stanowisko zasad ogólnych, i w końcu do tego punktu dochodzi, w którym, w moc powszechnéj zasady, wszystkie podrzędne i osobne wypadki skupiają się pod chorągiew umiejętności. Tu zachodzi pytanie, kto uzdolnił naszę pojętliwość do śledzenia związku ideów, i kto ją skłonił do użycia onych szczęśliwie? Oto, mowa nasza, a następnie literatura, która ją udoskonaliła.

Jeżelibyśmy nie przestali na dowodach dobroczynnéj władzy literatury, zapytajmy tylko dziejów, a każda nam karta odpowie, że umiejętność i filozofija ściśle idą z postępem języka.

Kto na chwilę zastanowił się przy obrazie dziejów człowieczeństwa, zjawisko to natychmiast go uderzy. Po każdém stoleciu jaśniejącém literacką sławą, zwykle daje się postrzegać ścisła i głębsza dążność, odznaczona odkryciami w umiejętnościach, umnictwie i przemyśle, i wtenczasto duch człowieka silniejszego nabiéra lotu. Po Sofoklesach, Wirgilich, Ariostach, Miltonach, Boalach, Rasynach powstają Arystotelesowie, Plinijusze, Beccariowie, Robertsony, Monteskiusze i Biufony. Jakimże przyczynom przypisać tę zmienność działalności ludzkiego umysłu? Czyliż ona wynika z wyczerpania się wyobraźności, czy z przemiany smaku w narodzie? Czyli też może uzdolnienie ludzi jednego stolecia innaczéj jest usposobione, niż ich poprzedników i następców? Ani jedno, ani drugie! Jest tu prostsza i trafniéjsza przyczyna. Literackie utwory musiały poprzedzić zastosowanie swoje. Oneto utworzyły narzędzia, za pomocą których poźniéjsi na drodze wiedzy i prawdy daleko łatwiéj i bezpieczniéj postępować mogli.

Z początkiem wieku, noszącego na czole imię Ludwika XIV., z podziwieniem widzimy jak do najlichszych płodów, osobliwą przywiązywano ważność. Dwór i stolica dzieliły się na zdania o lada madrygale, a surowy Boileau sam wyrzekł: »Sonet bez wszelkiéj przywary stanie za długi poemat.« Podobna osobliwość mogła zdarzyć się tylko w epoce, kiedy język był jeszcze świéży, surowy, w drodze ukształcenia z żywiołowémi trudności walczący. Wówczas musiano jeszcze przykrawywać formy stylu, wynajdywać reguły języka i smaku, ustanawiać je, aby je potém drudzy przyjęli. Pisanie zatém wtedy nie było tak lekką sprawą, jak dziś; najdrobniéjsze tam rzeczy, jako początkowe kroki, zasługiwały na uwagę. Widzimy to łamanie się z trudnościami w rymach Malherba, więcéj wypracowanych niż natchnionych; w wymuszonéj harmonii prozy Balzaca*) i w ozdobnéj śmiałości Voitiura. Wytworność i poprawność były ongi tak rzadkiemi i ważnémi własnościami, że same przez się zapewniały ich posiadaczom sławę i znaczenie. I tak Patru, chociaż był zimnym mówcą, otrzymał pochwały Boala i głosy akademii, dla tego, iż styl miał płynny i czysty. A Boalo, jakżeż on owładnął wszystkie umysły, chociaż oprócz uczonego daru wiérszowania, nie posiadał bynajmniéj wyższego daru twórczości. Podówczas nie jeden uczony życie całe poświęcał na obrobienie jednego dzieła. Z drugiéj znowu strony, u dobrych pisarzy formy językowe jaśniały rzadkiemi pięknościami; doskonałość onych z lichwą wypłacała trud na nie łożony, a utwory jeniuszu odznaczały się oryginalnością, która przekonywała, że autor wyrażeń swoich nie pobrał ze wzorów, lecz je sam stworzył. Kto czytał

*) Jan Ludwik Guez de Balzac, którego nie należy brać za jedno z dzisiejszym romanso-pisarzem.

Paskala, Bossueta, Labruyera, Kornella i Lafontena, ten czuł, że każdy z nich własnym swoim pisze językiem, który sobie sam stworzył.

W wieku, który po tym nastał, uderza nas inny charakter literatury. Język dojrzalszego nabrał ustalenia, a pisarze więcéj ubiegali się za sławą ogłady niż oryginalności. Myśl, nie tyle już zaprzątniona swoim kształtem zewnętrznym, puściła się teraz na otwartsze pole. Nie potrzebując więcéj rozpraszać sił swoich wynajdywaniem form sobie właściwych, zbiérała te siły w ognisko potężniejszych dążeń. Literackie budowy, wielkością swoją cześć wrażające, śmiało się wznosiły w owych encyklopedycznych i historycznych dziełach, które nie zatarte po sobie zostawiły ślady. Fontenell stoi na wstępie nowego stolecia, onto śród oklasków zdziwionéj Francyi połącza piękne ze ścisłémi umiejętnościami. Monteskiusz analizuje prawa i ustawy narodów. Biufon majestatyczny a prosty jak przyroda, którą opisuje, ogłasza odwieczne prawdy obok szczytnych marzeń, których zgłębianie, nowe prawdy na jaw wywiodło. Wolter, sięgający po każdy rodzaj sławy, rzucił się w wielostronny zawód, aby zwalczać przesądy fanatyzmu, aby swoim ziomkom objaśnić tajemnice newtońskie, i duchem filozoficznym natchnąć historyję. Zniszczył on fanatyzm i nietolerancyję, sprawił z Beccaryjuszem reformę ustaw kryminalnych, i w mnóstwie prac swoich stał się podobień Herkulesowi, który potwory zwyciężał. Lubo mniéj uniwersalnie, lecz daleko silniej, zabrzmiał obywatel genewski (ulubione miano Russa) świętym głosem natury, moralności i wiary; a któż obok Diderota, Kondylakka i Dalamberta obliczy ów długi szereg filozofów, poetów i uczonych? Otóż wszechwzględnie widzimy, jak nowe stolecie, odziedziczywszy po przodkach swoich ustalone skarby języka, lubo nie całkiem od błędów wolne, z tém wszystkiém bliżéj prawdy stanęło. Wiek 17ty stworzył literaturę, a 18ty użył jéj do wyświecenia swoich badań i rozszérzenia swoich odkryć i wynalazków.

OLBRZYM SKALDY.

(z Buschmana.)

Są miasta, które li tylko jeden niezmienny, regularny przedstawiają widok, jakby jakiś skład kształtów geologicznych, który we wszystkich swoich częściach podciągnięty jest pod surową regułę, pod piętno niezatarte. I tak, czyto będzie twierdza, zawinięta jak turban na czole góry, najeżona wieżami, wałami i basztami, z placami ćwiczeń wojskowych, z mnóstwem koszar, pełna wijących się po ulicach żołniérzy; czy będzie miasto rękodzielnicze z nieustannym stukiem młotów, z przykrym piskiem pilników, z okopciałémi domami i ludźmi; czy już miasto nadmorskie, mówiące głosem chrapliwym swoich majtków, rozpinające swoje sieci, żagle, liny, przyglądające się nawom swoim, które kołysząc się na fali wysmukłémi maszty, kłaniają się to dalekiemu wschodowi słońca, to nadpływającym żaglom, które rosną na widokręgu... Zawsze te miasta nosić będą cechę swego przeznaczenia, równie w najdrobniéjszym szczególe, jak w saméj całości; i zdaje się, jakby jednem zrodziły się spojrzeniem, lub jedną myślą.

Inne znowu miasta wziąłbyś za utwór rozmaity, pomieszany, wielokształtnéj, kaprysnéj roślinności; albo za skutek jéj różno-rodnych kształtów, które rozwijając się w różnych porach, podług swojéj przyrody, plączą się, krzyżują, pną się jedne na drugie; tutaj latorośl przygłuszona, z piękną, bogatą gałęzią, tam obok nowych łodyg, zeschła łodyga — słowem, ów dziwotworny zbieg kształtów, gdzie każdy rodzaj przemysłu wystawił sobie mieszkanie osobne, gdzie każdy lud odbił barwę swoich obyczajów, i gdzie każde stolecie zostawiło ślady własnéj fizyjonomii. Taką wydaje się Antwerpija.

Miasto wielkie, bogate i piękne. Półkręgiem roztoczone nad brzegiem Skaldy, kąpie stopy swoje w jéj spaniałych wodach, i okręca się w koło szérokim pasem warowni, których oba końce opiérają się o przepyszne wybrzeża. Wszędzie wznoszą się pomniki. Tutaj starożytna rzeźnica, z podłużnémi, łuczastémi oknami, wystawiona niegdyś przez bractwo rzeźników; ówdzie kaplice, kościoły, daléj ogromny gmach katedralny, który tak pysznie i spaniale dźwiga pod niebo swoję olbrzymią wieżę; wszystkoto nie przywodziż na pamięć owych gmin z wieków średnich tak pełnych życia, tak namiętnych, tak silnych? Spojrzéj na około, na stojące obok siebie, te długie, chude wystawy domów o spiczastych przyczółkach,

które przypominają swojém pochodzeniem hiszpańskiém, śmiertelne konanie Belgii, duszonéj żelazną rękawicą księcia Alby, i wszystkie rusztowania wznoszone z rozkazu strasznego trybunału, nazwanego przez rząd ówczesny: radą rozruchów, a przez lud: radą krwi. Tam znowu akademija malarstwa, słynąca od trzech stoleciów poczetem wielkich mężów, którzy wyszli z jéj łona. Daléj wznoszą się magazyny, składy, niezmierne bazary, kędy gromadzą się wszystkie bogactwa świata. A daléj, u stóp tych gmachów, dwie szérokie i głębokie kotliny *(bassins)* pokryły się okręty, których wstęgami wiatr pomiata; tam, owe herbowne pawilony, wycięte bandery, długie, pływające, wydają się w dniu świątecznym jak lekki obłok barw różnowzorych, który się unosi, przesuwa, obwija koło masztów i rejów. Tutaj obok trzech kolorów francuzkich, świecą trzy kolory brabanckie, tam znowu bandera Zjedn. Stanów pływa siedemnastą czerwonémi i białémi wstęgami z polem lazurowém, na którém siedemnaście srebrnych gwiazd połyska; ówdzie bandera Śgo Jerzego, na niéj krzyż czerwony, na dnie białém, z herbami W.Brytanii, daléj jeszcze orlec dwugłowy, orzeł Cesarstwa Austryjackiego, ukoronowany z mieczem w szponie prawéj, a z jabłkiem w lewéj; znowu znak szwedzki, niebieski, wycięty w kształcie chorągwi, i żółtym przepasany krzyżem; a najdaléj, na dnie białém dwa klucze i papiézka tyara... Potém idą warsztaty, na których cieślowie budują nawy, pyszne i potężne, śród niezmiernego łoskotu młotów i śpiéwu pracujących. Obok obszérny arsenał przedstawia swoje kuźnie, szeregi dział, moździerze, bomby. Daléj, cytadela wzniesiona przez księcia Alby, czołém swojém tak nie dawno pooraném kulami dział francuzkich, panuje nad całém miastem. Z wysokości, w samém środku wznoszącéj się w kształcie mogiły widać, ciągnące się wały Antwerpiii, obsadzone drzewami i obwiedzione głęboką fosą, w któréj utrzymuje się woda. Tymczasem miasto mieszczańskie odepchnięte od miasta handlującego, stoczyło się, wlazło na miasto wojenne, oparło się aż o wały i rowy, a ztamtąd ucieka już na pole, ciągnąc się w długich przedmieściach uwieńczonych łąkami, ogrodami i drzewy; nakoniec przeskakuje Skaldę i na drugim brzegu przyjmuje się i rozwija... Ale nad wszystko spanialszy widok przedstawia Skalda pobrzeżami ożywionémi, nieustannym ruchem i zgiełkiem, i portem swoim tak obszérnym, że mógłby tysiąc okrętów pomieścić. Jedne nawy wyrzucają swój ciężar siłą powrozów naciągniętych, siłą kołowrotów trzaskliwych, śród majtków spiéwających; inne oczekują tylko pomyślnego wiatru, ażeby odpłynąć, a inne znowu nadchodzą z pełnym żaglem, posępne, z rdzawémi kotwicami. Potém na samym środku rzéki wielkie okręty wojenne, na linach kotwicowych przykute, przeglądają się w źwierciedle wody, swojemi szérokiémi biodrami, najeżonémi potrójnym rzędem dział z paszczą świécącą. Lecz kiedy chmura zwolna sunąca się z wiatru powiewem, którego nie czuć na ziemi, kiedy ponura, ciężarna burza pokryje jasność słoneczną; kiedy rozproszone skupią się chmurki, a wiatr zacznie wyć głucho; a morze się wzdymać, a okręty zaczną kołysać wysokie swoje maszty; a potém kiedy nagle nawałnica się rozpasze, gwałtowna, wściekła, niepohamowana; kiedy łyskawica raz po raz rozdziera chmur oponę; kiedy łoskotowi grzmotu wtoruje szum nawalnéj rzéki, a żagiel rybackiéj łodzi, jakby skrzydło jaskółki morskiéj, muska rozigrane, pryskające wełny; kiedy wiatr jęczy po linach, a okręt skacze, a brzeg pokrywa się szérokiemi płachtami piany; natenczas w obec tych scen, jeżeli uczujesz się olbrzymem, jeżeli duszę wezbraną uczuciami, rozświeconą iskrami błyskawic, zlejesz w jednotę z dziką harmonią burzy; natenczas najszczytniéjszy masz obraz.

Antwerpija z innego znowu uważana stanowiska, należy do rzędu miast, które powołane są, aby odegrały kiedyś wielką rolę w przeznaczeniu narodów; które będąc środkowémi ogniskami szérokiego obwodu, zbiegają się do nich po wszystkich promieniach, wszystkie płody, arcydzieła sztuki, przemysłu, władz umysłowych ludu, owe wszystkie bogactwa, które ztamtąd rozchodzą się po świecie przez ręce stu ludów, stu morz, przez tysiące kolei, aż zamienione na inne bogactwa w to samo wrócą ognisko, z którego nieustanny ruch i życie, rozpływa się na wszystkie punkty obwodu.

Spalona r. 837 przez Normandów, a w siedm poźniéj wieków najbogatsza z miast w świecie; znowu potém spalona przez Hiszpanów; po sławném oblężeniu zdobyta przez księcia

Parmy; już blizka odzyskania dawnego swego blasku pod potęgą Napoleona; a nakoniec bombardowana w r. 1830, Antwerpija nosi imię, z którém tyle epok się wiąże cywilizacyj tegoczesnéj, tyle wielkich, sławnych, okropnych spomnień... Ależ dzisiaj, któż czytać może w przeznaczeniu tych tworów, które się rodzą, żyją, wzrastają, i upadają, a które miastami zowiémy? Oko ludzkie nie przedrze zasłony przyszłości. Z drugiéj znowu strony, któż nam wzbroni wrócić się po stoleciach upłynionych, szukać ustnych podań i starożytnéj legendy, otaczającéj kolébkę miast? Opowiémy więc legendę Antwerpii.

(Dokończenie nastąpi.)

G R Ó B.*)

Na błękitach Horynia gwiazda nocy pływa,
Zefir przebiega po sitowiu cichém,
Śnieżna piana wybrzeża samotne okrywa,
A lazurowe fale śpią z uśmiéchem.
Słowik się ukrył w chłodny liść jaworu,
W ciszy dąbrowa slucha muszek brzmienia;
Komużto wschodzisz wśród nocy milczenia
Ty zadumana gwiazdo wieczoru?...

Niegdyś w tych miejscach twój łagodny promień,
Ze snu dzieciństwa budził pierś dziewiczę,
Lub światem dumań karmiąc duszy płomień,
Dobywał westchnień, jak pieśni słowicze.
Teraz przedmurza zamku oniemiałe,
Cichą łzą tylko płyną w kraj pamiątek,
A tam gdzie uciech rozświtał początek,
Mdleją w boleściach serca owdowiałe!

Gdzież jest ten ranek szczęścia, wróżba upragniona,
Ta luba mara myśli, to nadziei dziécię,
Gdy przy twojéj kolebce matka rozczulona,
W złotym śnie malowała twoje przyszłe życie?
Ach! w téj ziemi czarownéj, gdzie życzenia wieszcze
Rodziły z marzeń owoc za nadziei świtem,
Uwiędłaś, jak to zioło przed wiosny zakwitem,
Tylko liść twych pamiątek nie usycha jeszcze!

Lecz gdy po czasie marzeń, w godzinie uroku,
Nim duch twój w tajemniczym roztoczy się świecie,
Oblany łzą uniesień, w uczucia potoku,
Jeszcze w nucie śpiéwaka zazielenisz kwiecie!
Wtedy na grób twój budzon cudzoziemską mową,
Milszy sercu przychodzień głos zbawienia rzuci,
I wiecznego pokoju z gałązką laurową,
Starych dziejów językiem tobie pieśń zanuci.

*) Jestto wiersz Tomasza Padurry na zgon księżnéj Karolowéj Doroty Sanguszko, zmarłéj w kwiecie młodości od kilkunastu lat w Rzymie, napisany przed sprowadzeniem zwłok jéj do kraju.

N A P O L E O N.

Pisemko francuzkie: *Origine de cultes*, zawiéra ostrą krytykę badań i domniemywań we względzie starożytnéj mitologii. Kiedy podzielone są zdania uczonych: *Czyli Ossyan był kiedy na świecie?* kiedy o Herkulesie, o Minosie, o Jazonie nie wiémy z pewnością, czyto były osoby żyjące, czy też to tylko są uosobistnione pomysły ludzkie; cóż byłoby dziwnego, gdyby np: r. 5836 badacz jaki starożytności wystąpił i twierdził, że Napoleon, ów sławny Napoleon wieku 18go i 19go, wcale nie istniał; a dzieje jego nie są niczém, jak tylko mitologiją z owych czasów. I zaiste, przy takiém pomieszaniu prawdy i fałszu, dziejów i bajek, jakie dzisiaj już w pismach o mężu tym znajdujemy, czyliż nie można się spodziéwać, iż po 4000 latach, który z uczonych antykwaryjuszów wynajdzie nareszcie prawdziwą nić prawdy i dowiedzie, że ów człowiek, o którym tyle mówiono, pisano, czytano, *w rzeczywistości wcale nie istniał, a raczéj ciągle na świecie istnieć nie przestaje?*

Bo i cóż znaczy imię Napoleon, jak greckie *ne*, *nei*, *arcy* i *Apollon*, skrócone *Apolleon*, a zatém *Arcy-Apolin.*

A cóż innego znaczy *Apollon*, z greckiego *apollyo*, *apoleo*, *niszczyć*, jak niszczyciel, bóg, który (według wyobrażenia Greków) ognistémi strzałami swémi (promieniami) niszczył obóz ich pod Troją, a to mszcząc się za to, że Agamemnon porwał córkę Chryzesa, kapłana słońca? *Apollon* więc znaczy tyle co *Słońce*, a *Neapoleon* (taki, co do litery był napis na kolumnie placu *Vendôme*) znaczy tyle co *Arcy-Słońce.*

W tym stanie cóż dziwnego, że mu dodano nazwisko *Bonaparte.* Każda rzecz ma dwie strony: dobrą *(bonam partem)* i złą *(malam partem).* Już Persowie znali dwa królestwa: jedno Ormuzda, drugie Ahrimana; jedno królestwo dnia, drugie nocy. Przecież i w poźniejszych czasach wyganiano czarta słowami: *Abi in malam partem.* Cóż więc naturalniejszego, jak, że do imienia: *Niszczyciel*, dodano objaśnienie: *bona parte?*

Czém głębiéj się zapuścimy w badania mitologii greckiéj, i mitologii wieku 19go, tém widoczniéj przekonamy się, że historyja Napoleona nie jest niczem innem, jak tylko odświéżoną historyją mitologiczną greckiego

Apolina. I tak: Apolina czczono najbardziéj w Grecyi, gdzie w Delfi były jego wyrocznie; Napoleon był wyrocznią dla Francyi.

Apollon urodził się na wyspie Delos, na wschodniém południu od Grecyi, w Morzu Sródziemném położonéj. Napoleon również ujrzéć miał światło dzienne na wyspie Morza Sródziemnego, względem Francyi na wschodniém południu leżącéj.

Pausanias twierdzi, że oprócz Grecyi, także w Egipcie o Napoleonie również opowiadają, że odbył wyprawę do Egiptu, i czynami swémi zdziwił piramidy.

Matka Apolina zwała się po grecku *Leto*, po łacinie *Latona*. Słowo *laetari* znaczy *cieszyć się*. Dla tego też matkę Napoleona nazwano *Laetitia*. Jestto radość ze zbliżającego się słońca: zorza poranna.

O Napoleonie piszą, że miał trzy siostry. Właśnie Apollon otoczony był 3 gracyjami.

Daléj donoszą dziejopisarze, że Napoleon miał 4 braci, z których 3 posiadało królestwa, a czwarty, *Canino*, nie był królem. Cóż to jest innego, jak 4 pory roku*), z których gieniusz wiosny panuje nad kwiatami, gieniusz lata nad żniwami, gieniusz jesieni nad owocami, a na czwartym bielą się *cani*, to jest: *siwe włosy*. *Cum gelidus crescit canis in montibus humor*. Dla tegoto Napoleon żył w niezgodzie z bratem swym, księciem Canino. Dla tegoto niesie podanie, że po zejściu Napoleona z tronu Francyi, kraj cały *białemi* okrył sie lilijami.

Podług dawnéj mitologii Apollon miał dwie żony, *Luna* i *Tellus*. Z pierwszéj nie miał żadnego potomstwa; druga urodziła mu jedynaka, małego *Horus* (ziemię zapłodnioną przez słońce). Któż tu nie poznaje tożsamości historyi Apolina z historyją Napoleona? Któż sobie sam nie wytłumaczy, dla czego dziejopisarze donoszą, że syn Napoleona urodził się dnia 20. marca**), to jest: w chwili porównania dnia z nocą i rozpoczynającéj się wiosny?

O Napoleonie głoszą, że zaczął panowanie swe od zabicia hydry rewolucyi. Słowo *rewolucyja*, od łacińskiego *revolvere*, znaczy *zwijać*. Właśnie to samo twierdzą o Apolinie, iż w kłęby zwijającego się węża *Python*, będącego zakałą całego kraju, zabił własnoręcznie.

*) We francuzkiém *le printems, l'été, l'hiver*, są rodzaju mezkiego. Równie w łacińskim *ver, autumnus, hiems*. W niemieckim wszystkie 4 pory roku.

**) Roku 1811.

Bohatér 19go wieku miał, jak wiadomo, 12 czynnych marszałków państwa. Są to znaki zodyjaku.

Na tron Francyi przybył z Morza Wschodniego, od Lewantu, z Egiptu. Panował lat 12. Zakończył dni na Morzu Zachodniém. Jestto zwykły wschód słońca, 12godzinna jego podróż po niebie i zachód w Atlantyckim Oceanie.

Panował szczęśliwie na południu Europy, ale kiedy się posunął na północ, zmuszony był cofać się ze stratą. Jestto roczny bieg słońca, które panuje na południu, po porównaniu dnia z nocą ciągnie słońce ku północy i oddala się od równika (*aequatora*), ale po 3miesięcznéj takiéj podróży dochodzi do *północnego zwrotnika*, i musi przez znak *raka* wracać napowrót ku równikowi. Wówczas następuje jesień, pora się ziębi, liść opada.

Czyliż potrzeba więcéj jeszcze dowodów? Cóż czytamy w *Delavigne*, który niby to był współczesnym Napoleona? Oto, że ten ostatni wrócił z północy blady i *bez korony*, że tylko *jeden dzień* panował. Czyż potrzebujemy lepszych dowodów na to, iż Napoleon nigdy w rzeczywistości nie istniał, jak są prawa, ustawy, rozporządzenia Ludwika XVIII., w których wszędzie wyrażony jest rok jego panowania, a z których, jak najjaśniéj się pokazuje, że po Ludwiku XVI. nastąpił zaraz Ludwik XVII., a po nim bezpośrednio Ludwik XVIII., a ten dopiéro umarł r. 1824, to jest: we 3 lata po dniu śmierci mniemanego Napoleona. Nie było więc nigdy Napoleona; albo raczéj będzie on istniał zawsze, dopóki *słońce* świécić nie przestanie. (*D. P.*)

NADZIEJA.

Tłumaczenie z Schillera.

Wiele sobie ludzie marzą
O tém, co przyszłość zasłania;
Za pogodną szczęścia twarzą
Każdy chciwie się ugania.
Swiat się starzeje, znów młodość przywleka,
A człek w nadziei polepszenia czeka.

W świat nadzieja go wprowadza,
Mile pochlebia chłopczynie,
Młodzieńcowi byt osładza,
I ze starcem nie zaginie;
Choć jego zatrze grób życia koleje,
Jeszcze na grobie zaszczepi — nadzieję.

To nie próżne urojenie,
Jakie w płytkich głowach bywa;
»Wyższe nasze przeznaczenie,«
Głośno w sercu się odzywa;
Ten głos wewnętrzny, co z nieba pochodzi,
Duszę żyjącą w nadziei nie zwodzi.

JAN CZECHOWSKI.

— Ze Lwowa. —

Zwiedziny pracowni pana Rajchana. Mój przyjaciel, mając mię już przezto samo za jakiegoś sztuki malarskiéj znawcę, żem był za granicą, i żem czasem komuś jaką niezapominkę odskicować umiał; prosił mię, abym się z nim do malarza udał, i doradził, w jakim smaku ma swoję przyszłą kazać odmalować. Nie daję się prosić długo, idę. Wyznaję, iż nie niosłem z sobą niespokojnéj ciekawości; szedłem jak do zwyczajnego portretnika, u którego, stanąwszy przed obrazem, można na sobie jakieś podobieństwo znanéj osoby wymęczyć, ale i na tem już koniec. Inaczéj mi było w pracowni pana Rajchana. Zaledwiem we drzwiach stanął, już do mnie wiele znanych mi osób ze ścian zagadało. Byłato piérwsza nie mała dla artysty zaleta. Nie dałem się wszakże łudzić piérwszemu wrażeniu, zacząłem wchodzić w sztukę i przekonałem się, że pod penzlem pana Rajchana każdy obraz nabiera plastyczności, z tła się wymaga, i chce być posągiem; że w obrazach jego nie panuje ogólna artysty maniera; i owszem każdy ma przy swoim osobnym charakterze, i ciało inne, to jest, swoje własne. W jego portretach każda głowa coś myśli; nie mówi: »Oto jestem, patrz na mnie,« ale mówi: »Słuchaj, co powiém.« Zważywszy i te zalety, które tak w kolorycie, jak i w rozmaitém rozléwaniu cieniów, są niezbędnémi dla dobrego artysty; możnaby w ogólności rzéc o sztuce pana Rajchana, iż więcéj się ubiega o zbiór znamion charakter duszy stanowiących, a niżeli o czczą piękność, która wraz z pokostem świéci, i wraz z nim gaśnie. *W.G.*

Pamiętnik Zygmunta Stefana Koniecpolskiego, sędz. wojow. sieradz., starost. będziń., pisany dla swoich wnuków, r. 1651; — wyjęty z archiwum podboreckiego, który historycznémi notami objaśniony i uzupełniony przez Stanisława Przyłęckiego, do ogłoszenia drukiem przygotowany zostaje. Dzieło to, w dzisiejszym szczególniéj czasie, gdzie się daje czuć tak wielkie zamiłowanie podobnych pamiętników, tém miléj będzie przyjęte, im więcéj rzuci światła na domowe życie naszych przodków, zawiéra bowiem wiele szczegółów dotąd nieznanych, i przyjemnie opowiadanych:

»Alexander, drugi syn podkomorzego (sieradzkiego Stanisława Koniecpolskiego), w cudzych krajach prawie wzrosł na dworze księcia Bawarskiego. Ten zmówiwszy Zofiję Dembińskę, podkomorzankę mielnickę, samże ją odwiózł do klasztoru S. Agniszki w Krakowie, aby tam (bo wtenczas prawie matka jéj umarła, była Kopciówna z domu) wesela czekała. W klasztorze dwie ich siostry było, nabechtano ich, aby zakonnicami zostały, a to ktoś względem sukcessyi. Nie chciała wynijść z klasztoru na czas naznaczony wesela Zofija; zebrawszy tedy Alexander kupę, w nocy cicho przysadziwszy petardę do drzwi klasztornych (czego się Panie Boże pożal!) wyrzucił je, wziął Zofiję, któréj iż się siostra Dorota puścić nie chciała, i tę wzięto, wsadzono w łódź, bo łodzie czekały na Wiśle, uniósł je na dół, gdzie już wozy czekały i kupa ludzi służebnych, jachał z niemi do Koniecpola i tam brał z nią ślub; zmieszkawszy tam zetrochę jachał na zamek wieluński, a tam powiła mu syna Jana, po tym połogu wkrótce umarła. Konfederaci moskiewscy byli wtenczas w Wieluniu, powadzili się na mieście, wpadli pijani z szablami dobytémi do zamku, przelękła się, i z tego śmierć. Znowu przyczyniając sobie gniewu bożego Dorotę wziął, siostrę rodzoną zmarłéj, za małżonkę; dominikan dał mu ślub w domu pana Stanisława Trzcińskiego, wojsk. wieluń., pokrewnego domu naszego; niżéj o tém. Na sejmie *infamowany,* w tym rosole był lat kilka; za staraniem pana krakowskiego (Stanisława, kasztel. krakow.), dziada wmci *restitutus (Consist.* 1625. *fol.* 3), zgodę uczyniwszy z powinnémi, panu Rzeczyckiemu, staroście krakow., dał 30,000; panu Bełżeckiemu 30,000; pannom zakonnym 15,000 (złp.). Ci mieli siostrzenicę żon jego Zofii i Doroty, podkomorz. sochaczew. skiego Trzcińskiego córkę; u Ojca ś. dyspensę na to wtóre małżeństwo otrzymał. Ojciec żon jego Dembiński już był umarł, łatwiejsze było jednanie; zwano go: kot Dembiński; dla czego? ci wiedzą, co z nim jaką sprawę mieli, szwagrowie jego, panowie Kopciowie, ci doznali.«

Tenże Zygmunt Stefan Koniecpolski, opisując bitwę cecorską, tak mówi o niéj: »A gdy za niezgodą i buntem swawolnych już nad Dniestrem o półtoréj mili na rozerwanie taboru (w którym ośm dni, dziewięć nocy przez wojska tureckie i tatarskie sobie drogę wolną czyniąc do Dniestru przychodzili) zanosiło się, dziad wmci (Stanisław Koniecpolski, hetman natenczas polny koronny), biegał na koniu bunt ten skromiąc, gdzie usłyszał głos taki: »Uchodzą hetmani!« odważywszy się skoczył z konia i przebił go szablą, aby ukazał, że fałszywe to udanie było. Nie pomogło to nic, rozerwało to łotrowstwo tabor, poszli w rozsypkę; przybieży pieszo do Żółkiewskiego, konia, tam stał nie daleko, który podaje starcowi, ów nie chciał, mówi mu: »Proszę cię ty wsiądź na niego a uchodź, *meliori fortunae* na usługę rzeczypospolitéj *serva te,* a ja swym tułowem do ojczyzny nieprzyjacielowi niechaj drogę zawalę!« Wsadził przez moc starca na konia, okrywszy go deliją hajducką; skoczył między kupę Żółkiewski, tam od Czerkiesa zabity. Ten głowę mu uciawszy, oddał ją Skinder-paszy, o co sułtan rozgniewany kazał Czerkiesa ściąć.« — Późniéjszym czasem będziemy starali się umieścić ciekawe z tychże pamiętników ustępy o dostaniu się hetmana Koniecpolskiego do niewoli tureckiéj, i o trzech-letnich jego przygodach w więzieniu Jedykule, w Stambule. *L. S.*

Z Warszawy. Zaszczytnie znany w zawodzie literackim pan J.P.Rakowiecki, wydawca »Prawdy Ruskiéj,« wydał teraz: »Odezwę do miłośników języka i starożytności sławiańskich!« W piśmie tém wzywa uczony badacz rzeczy sławiańskich do prenumeraty na dzieło, które zamyśla ogłosić, a które ma tytuł: Historyja języka sławiańskiego i powstałych z niego dyjalektów, obejmująca rzecz o cywilnym dawnych Sławian stanie. Dzieło to składa się z 4 tomów: Tom I. obejmuje: Teoryję i praktykę sposobu utworzenia się mowy ludzkiéj, podzielającéj się z natury rzeczy na różne języki martwe i żyjące; tom II. zawiéra: Rzecz o cywilnym dawnych Sławian stanie; tom III. obejmuje: Historyję początku i stanu języka sławiańskiego i powstałych z niego dyjalektów; tom IV: Wypisy oryginalnych najdawniéjszych pomników piśmiennych różnych dyjalektów sławiańskich. Prócz tego wzywa pan Rakowiecki miłośników sławiańszczyzny, aby raczyli udzielać mu swych uwag, spostrzeżeń i materyjałów, mogących tyczéć się przedmiotu wyżéj opisanego dzieła jego. — Wkrótce wyjść ma u nas nowe oryginalne dzieło Historyi powszechnéj L. Janowskiego, autora z niektórych pism zaszczytnie znanego. Zjawienie się dzieła tego jest tém ważniéjszém dla nauk, gdy oprócz małéj liczby szczupłych zbiorów sumarycznych z historyi powszechnéj, żadnego w języku naszym podobnego nie posiadamy.

Karol Raumer utrzymuje w swojém dziele jeograficznem, że woda była w piérwotnych czasach panującym żywiołem, którego potęga zbliża się do końca; władza zaś ognia, żywiołu przyszłości, wzrasta z postępem wieków.

Do dramatu pod tytułem: *Kean,* przez Alex. Dumas, z największą gorliwością przygotowują się w teatrze *Variétés.* Wiele dobrego mówią o téj sztuce, która mnóstwo zawiéra wypadków z życia owego sławnego angielskiego aktora; sceny odbywają się jużto w szynkowniach (tawernach), jużto w mieszkaniu Keana, jużto na teatrze. Intryga prawie niepodobna do rozwiązania, najniespodziéwańszym rozwikływa się tam sposobem.

Nieśmiertelne szczątki zmarłéj w nędzy poetki Elizy Mercoeur w Paryżu zostały złożone d. 18. maja b. r. na cmentarzu ojca *la Chaise*. Obchodem tym damy się trudniły, i odbywały wszystkie ceremonije. W liczbie tych dały się widzieć panie Waldor i Segalas, a hrabina Heutpol ułożyła nagrobek, w którym maluje szczególniéj miłość zmarłéj dla jéj matki. Rzecz to bardzo chwalebna, że te wielkie panie po śmierci taką jéj cześć oddają, ale byłoby jeszcze chwalebniéj, gdyby były żyjącéj *nie dały umrzeć z głodu*. Jak największa ofiara dzisiaj nie wynagradza tego, co wprzódy przepomniano!

W Atenach wystawiono już teatr. D. 7. maja dano po raz piérwszy grecką trajedyję: *Timoleon*, i przyjęto ją oklaskami. Gmach teatralny zbudowany jest na sposób starożytny, bez dachu, tak, że drugi jakiTymoteusz ze swego siedzenia bez trudności mógłby widzieć żurawie Ibika.

Dowcipna i trafna odpowiedź na szyderstwa lub złośliwe przycinki, często w lepsze ugodzi, niż najdłuższa gadanina. Henryk IV., król francuzki, chełpił się pewnego razu przed posłem hiszpańskim, będącym na jego dworze, że ma zamiar z ogromném swojém wojskiem, które zebrał, tak przelecieć Włochy, że na śniadanie będzie w Medyjolanie, mszy ś. wysłucha w Rzymie, a na obiad stanie w Neapolu. Na to dodał Hiszpan: »Sire! jeżeli tak pójdzie, to W. K. Mość zawczasu jeszcze staniesz na nieszporach w Sycylii.«] (Czytelnik przypomina sobie o krwawéj rzezi, zwanéj Nieszpory Sycylijskie, jaką wyprawili Hiszpanie z Włochami na Francuzach.)

Pewien angielski fabrykant szkła uczynił odkrycie, mocą którego przez dodanie pewnych mieszanin szkło nabiera takiéj sprężytości, że mianowicie w szybach u okien nie podpada stłuczeniu.

Sir John Weeps, właściciel huty żelaznéj w Anglii, ukończył nie dawno w hrabstwie Cornwallis budynek z samych niepalnych materyj. Co tam szczególniéj uderza, to ta okoliczność, że oprócz bielizny stołowéj i pościeli, wszystko reszta nie podpada spaleniu. Budynek ten ma 420 stóp długości, a 76 szérokości; wszystkie belki są z lanego żelaza, mury z ciosowego kamienia, ramy u okien i drzwi także lane z żelaza; posadzka we wszystkich piątrach z marmuru, a dach z blachy żelaznéj.

Anglik jeden wybudował nad rzeką Thees młyn, któremu nadał kształt ogromnéj wielkości człowieka, leżącego na wznak. Sam gospodarz mieszka w głowie, któréj oczy służą mu za okna, nos zaś stanowi podwójny komin. Mechanizm młynowy jest w brzuchu, a ruch kołom nadaje potok wody, wypływający z wielkiéj rury, w kształcie butelki, i wpadający wprost do rozwartéj paszczy olbrzyma.

W obu izbach północno-amerykańskiego państwa Pensylwanii uchwalono ustawę, mocą któréj na przyszłość kara śmierci nie będzie wykonywać się publicznie; tylko w więzieniu, w obecności szeryfa lub koronera, prezesa, 12 obywateli, lekarza i jednego lub dwóch duchownych. Osobnym artykułem zabronione jest wpuszczanie wszystkich innych osób, a mianowicie niewiast i małoletnich. Nadto spisanym zostanie protokuł, który obecne osoby pod przysięgą potwierdzą, i takowy najmniéj w dwóch gazetach ogłoszony zostanie.

Myśl. Autorska mierność zawsze jest sobie podobną i jednostajną; zato jenijalność nieskonczenie bywa rozmaitą; w dziełach téj ostatniéj nie rzadko napotykamy najcudowniejsze piękności obok płaskich konceptów. Największym błędem wielu autorów jest to, że *żadnego* błędu nie mają. Im większe piękności w jakiéj książce, tém też i błędy większe. Dzieło bezbłędne pewnie nie jest jenijalném. Bardzo płodni pisarze wpadają częstokroć w umysłowy mechanizm, gdzie wszystko na wysłowieniu stoi, a piękne wyrazy zastępują miejsce ideów. Dzieła takich autorów podobne są kwiatom, bawiącym oko, lecz nie mającym woni.

Potęga pieśni rodzinnéj. Pewien góral szkocki w czasie ostatniéj wyprawy do Buenos Ayres dostał się z swymi towarzyszami do niewoli, zkąd po uczynionym pokoju miał powrócić do ojczyzny. Lecz piękna i żyzna ziemia, tyle go przywiązała, a co więcéj, tak się pokochał w pięknéj Amerykance, że kiedy go drudzy namawiali, aby z nimi do ojczyzny wracał, odpowiedział: »Zostanę; kraina ta jest tyle piękną, moja Juana tyle kochającą, że mi się ztąd oderwać niepodobna. Wy wracajcie, ja tu zostanę!« Jeden z towarzyszy jego nic na to nie odpowiedział, tylko poprowadził go pod drzewo, gdzie obadwaj usiedli, i zanucił pieśń góralskim językiem: »*Lochaber no more.*« Góral nie chcący wracać do ojczyzny miesza się, rysy jego dają poznać walkę wewnętrzną, i z oczu łzy mu się puściły. Teraz i on zaczyna nucić, i z coraz większym zapałem spólnie ze swoim towarzyszem śpiewa: »*Lochaber nae mair! I maun gang barce. Na!* (Muszę powrócić).« Natychmiast zarzuca swój *pled* na siebie, ściska towarzysza, i kochankę opuszcza. »Wracajmy!« woła, »wracajmy do skał i jarów Badenochu, po trudach niewoli i tułactwa umierać na macierzystéj ziemi!«

SAME FATALNOŚCI.

Do rozmaitych fatalności, które człowieka dzień i noc trapią, nie od rzeczy będzie przydać i następujące:

Nie jestże to rzecz fatalna, kiedy piękna kobiéta chustkę opuści, a dwóch modnisiów podnieść ją poskoczą, i tak się mocno czołami uderzą, że aż im guz wyrośnie?

Lub kiedy kto w towarzystwie chce się piękną myślą popisać, a dowcip go zawiedzie? Lub gdy coś ciekawego czyta, a czyszcząc knot świecę zgasi?

Lub gdy na balu panienkę do walca zamówi, a śród tańcu poczuje, że to kloc w całém słowa znaczeniu?

Lub kiedy do gospody wejdzie, a podjadłszy i podpiwszy spostrzeże, że kieskę w domu zostawił?

Lub gdy na przechadzkę w piękny świat wyjdzie, i z pięknémi kobiétami rozmawiając, po sobie z ukontentowaniem spojrzy, a pod pachą we fraku dziurę obaczy?

Lub kiedy długi, miłosny bilecik do jakiéj damy napisze, a przy najsłodszém zakończeniu *arendarza* posadzi?

Lub gdy do kawiarni dla czytania ciekawéj gazety wejdzie, a ktoś ją inny dwie godzin sylabizuje?

Lub kiedy coś podnieść się schyli, a przytém coś puści?

Lub gdy kogo na ulicy z impetem i serdecznie uściska, a potém się twarz nieznajoma pokaże?

Lub kiedy z osobami dostojnémi u stołu siedzi, i od kataru jest trapiony, a chustkę w domu zostawił?

Lub kiedy mu w teatrze na wąziutkiém krześle między dwiema, nieszpetnie tłustémi paniami siedzieć przyjdzie, a wymknąć się nie może?

Lub kiedy kto na balu mark garderobowy od swego surduta zgubi, i czekać musi, aż się wszyscy rozejdą, a potém miasto nowego, długiego surduta, stary i kusy przyjąć musi?

Lub kiedy w zimie z balu we fraczku wybiegnie, a dzwonek od kamienicy urwany zastanie?

Lub kiedy przed kochanką, stojącą na balkonie, popisać się na koniu pragnie, a dawszy mu ostrogę do skoku naprzód, sam w tył zleci?

Lub kiedy przez całą redutę masce najsłodsze grzeczności prawi, a w końcu się pokaże, że to jego stara ciotunia była?

Lub kiedy kto do ważnéj osoby z prośbą przyjdzie, i prosząc potężnie kichnie?

Lub kiedy bezsennemu żadne już lekarstwo nic pomoże, a ktoś go przecież taką humorystycznością, jak niniejsza, uśpić potrafi.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.